

Szanowny Czytelniku!

Opowiadaniem, zamieszczonym poniżej nasza redakcja rozpoczyna konkurs literacki. Piszcie do nas, nadsyłajcie swoje utwory: poezje, listy, eseje, wspomnienia. Niektóre z utworów - według uznania redakcji - zostaną zamieszczone na naszych łamach. Wszystkie natomiast wezmą udział w naszym KONKURSIE LITERACKIM. Prace należy podpisać pseudonimem. Wewnątrz koperty z przysłanym tekstem prosimy zaznaczyć imię, nazwisko, adres zamieszkania i telefon.

Rozstrzygnięcie konkursu odbędzie się w maju przyszłego roku.

Życzymy powodzenia! Redakcja

„Idź swoją drogą...”

Ani, która kocha piękno.

Było słoneczne, prawie wiosenne popołudnie. Marzec w tym roku był jakiś wyjątkowo łaskawy. Można rzec, hojny. Słońce oślepiło nieśmiało młode listki, które spieszyły się wydostać z objęć pączków. Poza miastem na "jej łące" nad kępami fiołków już nawet cicho pobrzękiwały senne jeszcze pszczoły. Ostatnio, kiedy tam była, słońce grzało, fiołki miały bardzo intensywną barwę, pachniały niemilosiernie. Nagle tę słoneczną sielankę przerwał wiatr, który przyniósł chmurę. Sypnął śnieg. Wrażenie niesamowite - zieleni trawy i fiołki przysypane śniegiem.

Praca nad projektem posuwała się leniwie. Zresztą, tak naprawdę, nigdy nie umiała pracować w biurze. Znana była z tego, że znika z pracy szybciej od innych, za to rano, od piątej, lub późno wieczorem siedzi nad projektami i pisaniami w swojej domowej pracowni na poddaszu. Dziś, w to piątkowe

słoneczne popołudnie, kiedy oczami wyobraźni ujrzała nagle te fiołki, zrozumiała, że dłużej już nie znieśnie biurowego zapachu, na który składały się papierosy i namiętne, do przesady, parzona przez koleżanki kawa. Uparcie tłumaczyły, że jest to kawa po rureku. Według niej była zwykłym surogatem, prawdziwie, po turecku, zaparzonej kawy.

Dość. Beztrósko porzuciła papierosy, szkice, ołówki i kolegów. W niedopiętym płaszczu, zawsze o wiele za dużym i szerokim, wybiegła na ulicę. Uśmiechnęła się do słońca, zawzięcie ćwierkających wróbli, tanecznym ruchem obróciła się na pięcie i leniwie stopa po stopie, jakby kontemplując piękno popołudnia poszła w miasto. Lubiła o tej porze snuć się ulicami, gapić się na wystawy, obserwować ludzi. Kiedy wkładały już na siebie jaśniejsze płaszcze, męczyczn, którzy w wiosennym odruchu

przebudzenia z drzemki zimowej obojętności "oglądali się za spódniczkami". Lubiła samotnie, w jakiejś uroczej kawiarence, napić się kawy, nie tej biurowej, lecz dobrej, z ekspresu. Przejrzeć pismo, porozmyślać o osobach plotkujących przy stolikach. Potem szła do księgarni, kupowała kilka książek. A jeśli nie miała ani grosza, udawała się do znanego wyszukanego sklepu przymierzać futra, bez najmniejszego zamiaru kupienia ich kiedykolwiek. Dlatego też wkładała na siebie, przechadzając się przed ogromnym lustrem, te najbardziej eleganckie, a więc i najdroższe. Było to takie drobne, bardzo kobiece, wyzwanie rzucane losowi: a widzisz, nie mam pieniędzy, ale i tak włożę-

łam jedno z najwytowniejszych futer w tym mieście. Bawiło ją to. Życzliwi, uśmiechnięci sprzedawcy znali jej kaprys, ba, nawet sprzyjali mu. Zawsze byli dla niej bardzo uprzejmi: może przymierzy pani to z połyskiem, między brązem i czernią, albo nie, lepiej - to. Mamy coś nowego, absolutnie unikalnego. Niech pani oceni lekkość, krój. A miękkie, - niczym jedwab. No i ten kolor - jak dym... W tej uprzejmości kryła się ich z nią solidarność. Cóż, by kupić jedno z futer, które sprzedawali, musieliby odkładać swoją pensję przez parę lat...

Dzisiaj jednak, po przebyciu kilku swych ulubionych ulic, uliczek, zakątków, ulegając innemu kaprysovi, skierowała swe kroki do ekskluzywnego sklepu ze starą biżuterią. Było w nim coś prawie magicznego. Przychodziła tu rzadko, by nie upowszednić sobie przyjemność. Po klei, bardzo powoli, z namaszczeniem oglądała ozdoby, starając się odgadnąć losy kobiet, które je kiedyś miały. Na swe wysmukłe palce i wąskie przeguby ręk wkładała ciężkie pierścienie, i bransolety.. Tu też ekspedientki ją znały. Kiedyś, bowiem uczyniła iscie książęcy zakup. Były to chińska bransoleta wysadzana turkusami, zdobiona niebieską emalią, przez którą przebiegały tworząc roślinne ornamenty delikatne złote żyłki, oraz srebrny pierścień z białoróżowym, prawie białym, płaskim i cienkim niczym opłatek ametystem.

Dziś po dokładnym obejrzeniu jak gdyby uwitęte ze zmięgotanych skrętów, srebrnej gruzińskiej bransolety z dwu ogromnymi gagatami i dagestańskich z wytrawionym na czarno ornamentem, kołczyków w postaci gwiazdy z półksiężycem, po wnikliwym zbadaniu ogromnych ciężkich bransolet z Samarkandy, indyjskiego naszyjnika ze skrytką (na amulet, kadzidło, perfumy?), zatrzymała się nagle olśniona przy osobnej gablocie. Pod szkłem, specjalnie wyeksponowane przy pomocy oświetlenia przyciągało się niesamowite, uchwycone w ruchu wygiętego ciała stworzenie - jaszczurka. Piękny płaz, w postaci wielkiej broszy, skrzył się blaskiem kamieni na przemian przeźroczystych i prawie czarnych. Ich szlif godny był diamentów z Amsterdamu. Zapra gnęła jej bardzo... Zawsze interesowała się rodowodem kupowanych ozdób. Z jakiego były kraju, okresu, jakich technik użyto do ich wyrobu... Teraz o nic nie chciała pytać, tylko po prostu mieć, mieć dla siebie to wyjątkowe zaklęte w klejnocie stworzenie. Już widziała siebie w swojej ciemnej sukni z aksamitu, której nie przyozdobi niczym innym prócz tej broszy... Niestety - jej sakiewka była pusta.

Ekspedientka przypatrywała się temu niezwykłemu zafascynowaniu klientki: Mediolan, srebro wysadzane górkim kryształem i bardzo ciemnymi granatami, początek XX wieku. Broszę zrobiono na specjalne zamówienie polskiego przemysłowca, zdaje się, że był właścicielem szybów naftowych gdzieś w Borystawiu, czy pod Drohobyczem... Rodzina mieszkała we Lwowie. Klejnot z pokolenia na pokolenie przekazywano kobietom tego rodu. Widzę, że podoba się pani, odłożyć? Tylko długo czekać nie

możemy. Osoba, która oddała to do sprzedania bardzo potrzebuje pieniędzy. Właściwie kupując, najprawdopodobniej wybawi ją pani z jakiegoś wielkiego kłopotu. Nas, trochę również, bo chcemy jej pomóc, ale trudno jest sprzedać taki przedmiot. Broszka jest duża i droga. Nie sądzimy, że znajdzie się ktoś, kto ją kupi.

Bardzo mi przykro, niestety - odpowiedziała. Podniosła znad oskłonej gabloty rozżalone oczy i wtedy spotkała spojrzenie. Patrzyły na nią jakieś intensywnie niebieskie, życzliwe, jakby uśmiechnięte oczy. Widocznie stał obok i przysłuchiwał się całej rozmowie. Wysokie czoło, ciemne włosy... Nie, tego już było za wiele. Jeszcze i taki ktoś, kto raz jak piorunem od pierwszego wejrzenia. Spłoszyła się. W myśli błyskawicznie przemknęło, że być może oglądał cały ten jej ceremoniał wkładania pierścieni i bransolet. Jak śmiał?! Poczuła się jeszcze bardziej speszona - wiedział już, musiał to zrozumieć, że nie mając pieniędzy weszła do najdroższego w mieście sklepu, jaki wstyd!... Odruchowo pomyślała o jakimś natychmiastowym zadośćuczynieniu na to upokorzenie. No nie, przecież nie pójdzie, z kolei, na wiosnę, z rozpaczy przymierzać futra. Nie, stanowczo, na dziś już wystarczy. Zapra gnęła jak najszybciej ukryć się w domu. Z roztargnionym uśmiechem, kiwnięciem głowy podziękowała ekspedientce i szybko wyszła ze sklepu.

Na ulicy odczuła chłód zbliżającego się wieczoru. Piękne słoneczne popołudnie minęło. Zapadającego zmroku i chłodu na przedwiośniu nie lubiła. Zawsze starała się wrócić do domu przed zmierzchem. Przyspieszyła, więc kroku, prawie biegła. Uciekała trochę przed zmierzchem, trochę przed upokorzeniem, które ją spotkało. Trochę przed sobą. A przed oczami na przemian zjawiało się niebieskie spojrzenie i piękny klejnot. Jakis omam, coś za bzdura! - karciała siebie w duchu.

Ależ pani szybko biega, ledwie panią dogoniłem. Wpadnęłam, spieszy się pani, ale... Może wpraszę kurtka i te niebieskie oczy. - Właściwie, to ja też się spieszę. Ale bardzo panią proszę, dziś w "Atenii" jest mój wieczór autorski... Zapraszam panią...

Rozwiane na wietrze ciemne włosy, rozbrajający uśmiech, niedopięta kurtka i te niebieskie oczy. - Właściwie, to ja też się spieszę. Ale bardzo panią proszę, dziś w "Atenii" jest mój wieczór autorski... Zapraszam panią...

Szła coraz spieszej. Nie ustawał jednak. I tak odprowadził ją pod sam dom. - Oto zaproszenie, powiedziała, wręczając jej elegancką kremową kopertę. Pomyślała, że zachowuje się jak dzikuska, i by jakoś rozładować tę niezręczną sytuację w geście pożegnania podała mu rękę i uśmiechnęła się. - Janusz Górski, przedstawił się. Będę na panią bardzo czekał, spotkanie jest o ósmej. Spojrzył raz jeszcze uważnie w oczy, uśmiechnął się, lekko przytrzymał ją za łokieć - przyjdzie pani? Przyjdę - powiedziała



Rys. S. Szachwerdow-Krochmal.